№ 26.

Warszawa dnia $\frac{17}{29}$ Czerwiec R. 1867



NOWOSCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

Korrespondencja z Paryża.

(Dokończenie)

Mówiąc o panu Guizot, należy nadmienić że w miesiącu bieżącym wydał ósmy tom pamiętników, w których opisuje epokę swojego ministerstwa, a tem samem i osobę Ludwika Filipa. Pan Guizot ma widocznie jedną słabość, która częstokroć dotyka ludzi zkąd inąd znakomitych, to jest, że główny swój talent pisarza historycznego stawia na drugim planie, a koniecznie mu się zdaje, że był i jest znakomitym mężem stanu, na którym nie poznały się współczesne zaślepione pokolenia ludzkie. Nie obrażę prawdy twierdząc, iż panu Guizot zdaje się, że obok niego może być postawionym jeden Richelieu, a nie wiem, czy i w takim razie nie radby jeszcze zatrzymać starszeństwa i usiąść po prawicy. Z wielkim naciskiem przedstawia tę okoliczność, że za czasów zmarłego króla, samoistnie zarządzał wydziałem spraw zagranicznych i tylko w najważniejszych kwestjach odnosił się do naturalnego swojego zwierzchnika. Nie pojmuję zupełnie co pan Guizot w tem upatruje tak szczególnego, bo o ile mi wiadomo to we wszystkich dworach, ministrowie załatwiają samodzielnie, kwestje podrzędne a postanowienia w głównych kwestjach oddają pod zatwierdzenie monarchy. Proszę czytać z jakiem to uczuciem rozkoszy i z jakiem to uczuciem dumy pan Guizot mówi o najważniejszem swojem dziele, które wedle jego zdania postawiło Francję na najwyższym szczeblu potęgi i sławy, a jemu zapewniło najznakomitszą kartę w historyi Francji.

Dziełem tem jest... skoligacenie dworu hiszpańskiego z Orleańskim, co pociągnęło za sobą nadzwyczajnie ważne następstwa, bo wedle najwiarogodniejszych świadectw, cały gabinet angielski zachorował na niestrawność, książe Albert trzy dni z rzędu polował, a lord major zażył pigułki Morisona, które wówczas ogólnie były w modzie; w klassach arystokratycznych. Wedle mojego zdania pan Guizot nie był i nie jest mężem stanu, a to dla téj przyczyny (pominąwszy inne) że nie umiał i dotychczas nie umie układać mów tronowych, — w których jak zapewnia, starał się unikać wszelkiéj przechwałki, wszelkiéj chełpliwości, ale przeciwnie namaszczać je najwyższą prostotą.

Od pana Guizot do Grecji nie jest łatwe przejście, bo o ile mi wiadomo, uczony ten w badaniach swych nie przekracza granic starego Rzymu, a w czasach swego zawodu politycznego zanadto był zajęty przeprowadzeniem tyle znakomitego dzieła które powyż opisałem, aby miał czas zwrócić gdzieindziéj swoją uwagę. Te więc kilka wyrazów niech nam służą za przejście do téj krainy, któréj mieszkańcy z dumą mogą wskazywać swoją świetną cywilizacją w czasach, w których dzisiejsze narody europejskie nie znajdowały się jeszcze, a żywioły mające posłużyć do ich utworzenia pozostawały w stanie zupełnego barbarzyństwa. Zachodzi jednakżeż pytanie bardzo ważne, jaki jest stosunek dzisiejszéj Grecji do dawnéj: czy ten wielki gienjusz narodowy nie zamarł lub też nie uległ wielkiemu przeobrażeniu; czy prócz języka, który przypomina język staro-grecki można jeszcze znaleść inne łączniki czasów dzisiejszych z epoką wielkich mędrców i wielkich filozofów? Pan L. w Cours littéraires pismie perjodycznem wychodzącem w Paryżu, odpowiada twierdząco, a jako dowód przytacza dwie pieśni ludowe, z czasów już późniejszych, bo z naszéj ery, w których wedle jego zdania, przebija w całéj czerstwości ów gienjusz, który już tylo zasług położył dla ludzkości.

Należy nadmienić, że zbiory pieśni ludowych, prawie wszystkich ludów europejskich, przełożone zostały na język francuzki, a między innemi pieśni ludowe greckie w przekładzie ogłoszone były w r. 1824. Mówiąc o utworach poetycznych, nic zadziwiającego że przychodzi na myśl największy tegoczesny poeta francuzki, Wiktor Hugo, z wyspy Guersej przyglądający się brzegom Francji. Wielki ten pisarz dotknięty jest również słabością à la M. Guizot, bo mu się zdaje że jest wielkim politykiem i w ogóle wielkim mężem stanu. Pana Hugo nie wiele obchodzą pochwały oddawane jego dramatom lub powieściom, rozmowy tego rodzaju słucha z pewnem roztargnieniem, ale za to rumieni się jak panienka, z oczów jego błyszczy radość i uczucie wdzięczności, skoro usłyszy zdanie naprzykład następujące.

— Ach panie Hugo, jakże pan jesteś głębokim politykiem: lub

Co za szkoda że okoliczności nie dozwalają panu ująć losów narodu w swoje ręce!

Stańczyk za czasów Zygmunta Augusta utrzymywał, że najwięcéj na świecie jest lekarzy; z upływem kilku wieków ogromna liczba mężów stanu, ma się rozumieć wedle tylko ich własnego przekonania, równa się niewątpliwie a może przenosi liczbę zwolenników Hippokratesa.

Polityka pana Hugo da się streścić w tych kilku wyrazach: „świat jest obrzydliwy należy wszystko zburzyć od podstaw aż do wierzchołka.“ Nie troszczy się jednakże o to co zbudować na gruzach starego porządku rzeczy. Te kilka słów o szanownym poecie-polityku wywołane zostały przedmową napisaną przez pana Hugo do Przowodnika Paryzkiego, ogłoszonego z powodu wystawy. W utworze tym Wiktor Hugo jako głęboki polityk, ale w stylu proroczym przepowiada, że dzisiejsza Francja wkrótce zniknie z pośród państw europejskich, a to z téj przyczyny: że jest za wielka i za potężna.

Nie potrzebujemy zdaje się nadmieniać że wstęp ten wywołał żwawą protestacją dzienników paryzkich tych nawet, które z zasady chwalą wszystkie utwory poety. W obec wystawy, w obec zebrania w jednem mieście reprezentantów wszelkich narodowości, jednem słowem w obec całéj ludzkości, Wiktor Hugo postanowił okazać swoje ogromne zdolności polityczne, które w tym razie dosięgły swego zenitu, bo burzy on Francją, dla jakiejś mary, któréj trudno nadać jakiekolwiek cechy rzeczywistości. Ciekawy tylko jestem dowiedzieć się, czy szanowny poeta potrafi znieść filozoficzne napady dziennikarskie? czy potrafi zdobyć się na odwagę, jaką w tych czasach okazało Towarzystwo koncertowe w konserwatorjum paryzkiem, które ośmieliło się jawnie okazać: że nietylko nie dba o przychylne opinje dziennikarskie, ale nadto takowe lekceważy i nie przyznaje im najmniéjszéj powagi. Rzecz się tak miała.

Przed laty czterdziestu sławny Habeneck założył w Paryżu towarzystwo koncertowe, mające na celu zapoznać publiczność francuzką z arcydziełami niemieckich klassyków. Z każdym rokiem kierunek tego rodzaju stawał się coraz wybitniejszym, tak że artyści zebrani przenosząc się w przeszłość coraz bardziéj odległą, zatracili zupełnie uczucie doczesności; a egzekwując utwory zmarłych artystów zapomnieli zupełnie o kompozytorach współczesnych. Dla wielu osób kierunek tego rodzaju wydał się zanadto monotonnym, postanowiły zatem wystąpić do walki, ale aby zapewnić niewątpliwe zwycięztwo, potrafiły się sprzymierzyć zwielowładną potęgą na zachodzie, bo z naczelnymi redaktorami dzienników. Niewątpiono zupełnie że kilka pocisków rzuconych w odcinku wystarczy do zmienienia wyobrażeń dyrekcyi Towarzystwa koncertowego. Omylono się jednak, bo dyrekcja nie raczyła nawet odpowiedzieć na zarzuty dziennikarskie, a wedle swego zwyczaju coraz bardziéj zbliżała się ku początkom rodu ludzkiego, tak że spodziewano się że z kolei odegra pieśni któremi Noe wyrażał swoją wdzięczność dla Stwórcy, po zatrzymaniu się arki na górze Ararat. Z wielkiem przeproszeniem dziennikarzy warszawskich, którzy niewątpliwie są wyjątkiem, musimy powiedzieć, że z pomiędzy literatów najbardziéj zarozumiali są wszyscy współpracownicy pism codziennie wychodzących.

Stosując do potrzeb dziennych, często fałszywie, wielkie prawdy przez kogo inszego wykryte i objaśnione, nie wątpią że są wyłącznemi motorami oświaty i cywilizacyi, że przodują ludom na drodze postępu, a głowa ich wcześnie okryta jest blaskiem nieśmiertelnéj chwały. Łatwo pojąć że redaktorzy francuzcy zaopatrzeni są ogromną ilością téj miłości własnéj i dlatego pogardliwe milczenie dyrekcyi koncertowéj oburzyło ich nadzwyczajnie bo główne ataki i podjazdy pozostawiła bez odpowiedzi. Kiedy wielcy się kłucą, często mali zyskują na tem, otóż pomiędzy strony zajęte sporem powyżéj opisanym, postanowiło w mięszać się tak nazwane, małe dziennikarstwo, a mianowicie pan Leon Leroy jeden z redaktorów dzienniczka wydawanego pod tytułem „*l'Esprit Nouveau*“ udał się osobiście do dyrekcyi, która skruszona tą pokorą, udzieliła odpowiedź w tych słowach:

1) Nie udzielaliśmy odpowiedzi na wszystkie wrzaski przeciwko nam wymierzone, a to dla téj przyczyny, że nie mieliśmy i nie mamy na celu zajmować się sprawami zewnętrznemi, i mało nas obchodzą głosy osób znających się na muzyce, jak my naprzykład na gospodarstwte rolnem.

2) Towarzystwo zawiązało się celem odgrywania samych arcydzieł klassycznych, a byłoby srogą potwarzą zarzucić dzisiejszym kompozytorom, że utwory ich mogą być uważane jako arkydzieła choćby nawet drugiego rzędu.

3) Że zapatrywanie dyrekcyi podzielone jest zupełnie przez swiatłą pdbliczność, bo miejsca wszystkie są zawsze zajęte; jedne i te same koncerta powtarzane są razy dwa, a jeszcze jest wiele osób, które domagają się trzechkrotnego przedstawienia tych samych sztuk.

4) Że skoro się tylko zjawi gieniusz muzyczny, to z pewnością dyrekcja pomieści w programacie koncertowym jego utwory.

5) Nareszcie że dyrekcja prosi redaktorów wszystkich w ogóle i każdego z osobna, aby nie zajmowali się zupełnie Towarzystwem koncertowem, aby nie dawali daremnych rad i nauk, które

nigdy wysłuchanemi nie będą, że Towarzystwo o pochwały dziennikarskie nie dba a nagan się nie lęka, a prosi tylko o jedną rzecz, o nienaruszanie spokojności, którą Towarzystwo ceni bardzo wysoko.

Istotnie trudno mówić z większą dobitnością i jasnością, a zdaje się że odpowiedź ta będzie ostatnim wystrzałem wojennym, bo na takie *dictum acerbum*, publiczność osłupiała, a Redaktorowie.... umilkli.

K. G.

Co ja lubię.

Co ja lubię? oto dzwon,
Kiedy czas modlitwy głosi,
I hymnu dźwięcznego ton,
Co serce dla Stwórcy wznosi,
Lubię uśmiech niemowlęcia,
Bo przemawia do méj duszy,
Lubię też i płacz dziecięcia
Gdy go widok nędzy wzruszy,
Lubię wiosnę, ptaszął pienie,
Nieba jasnego pogodę,
I lip naszych błogie cienie
Modréj Wisły bystrą wodę.

Paulina.

Chwilka nad wieczorem.

Jestem sama z naturą wśród łąk aksamitu,
Gasnący promień dzienny cieniuje zieloność
Siną barwą wieczora płynącą z błękitu;
W koło cisza głęboka, czas i nieskończoność.

Ja stoję zadumana — patrzę na pól zboża,
Gdzieś jak oko zasięgnie falują bez końca...
Jakby niosły szept dzięki aż w niebios przestworza.
A rzeka kipiąc złotem, z promieni tysiąca
Plącze wody swe w gwiazdy, i z temi skarbami
Złudnemi jak marzenia w dziewiczéj pamięci,
Mknie szybko — i dopiero gdy pod skały skręci,
Widzi że owe blaski rozprysły się łzami!...

Ja stoję zadumana — bo myśl śledzi oko;
Dla mnie ta lasów gęstwia, to niby świątynia
Z któréj hymnem wspaniałym wzbija się wysoko,
Szmer listeczków i ptaszął roztkwilone pienia.

Tam na wzgórku wśród wody uwitym w murawe, —
Wybujały dwie brzozy; ach jakże nadobne!
Dziewiczą swą postacią do siebie podobne
Jak dwie siostry rodzone — wysmukłe, białawe.

Tylko — jedna wyniosła, gałązki śle w górę,
Jéj listki drżą weseléj czuciem utajonem;
Druga smutnie się chwieje, czoło jéj ponure
Schyla się pełne troski, z warkoczem spuszczonem.

Tamta prosta choć wiotka, gdy nadejdą burze
Śmiało stawia im opór, choć się pierś kaleczy,
Ta i lżejszéj się nawet nie odeprze chmurze,
Tylko skargą daremną spokój swój niweczy,

Czemu tak? czemu zbladłe od łez jéj źrenice
Patrzą z żalem po ziemi — tęskniąc czegóż szuka?
Wszakże jest obdarzona jak jéj rówiennice
Lubym wdziękiem i tylu serca zaletami.
Czem pierś jéj rozżalona? czyż w nią nie zapuka
Nigdy radość, że wiecznie otacza się mgłami?...
Ach! płacze że samotna... a wszak i tę drugą,
Losy zdala rzuciły od gęstwiny lasu,
I jéj kazały żyć tak samotnéj na długo...
I ją wichry i burze zwarzyły zawczasu.

I stałam zadumana — gdy z marzeń goryczy,
Ocucił mnie szept wiatru. Przeleciał jak strzała,
Spojrzałam na me brzozy— któż boleść obliczy,
— Ach, i ja w krótkiem życiu wielem przebolała....

Augustyna Stanczykiewicz.

B E Z.

(wyciąg tłomaczenia).

My dzieci natury, związani z jéj istnieniem, doświadczamy kolejno różnych wrażeń któremi nas otacza; a niemogąc się z pod nich wyłamać, bywamy często radujący się, posępni, smutni lub weseli, stosownie do pory czasu i stanu powietrza.

Uczucia nasze pod wpływem atmosfery, zdają się zupełnie w nas odmieniać. I tak: ze skwarem letnim, bywają jakby przesycone upałami życia, — żywe są jakby rade ze spełnionych nadziei w czasie żniw i zbiorów,— smutne i zmrożone w zimie a świeże i jakby odrodzone w dniach cudnéj wiosny, w któréj bujny kwiat *bzu wonnego*, jest ich prawdziwym obrazem. Trwa on krótko... bo jest obrazem odbicia radości téj ziemi, gdzie człowiek ma jedną tylko wiosnę, i gdzie zaledwie kilka szczęśliwych może dni naliczyć.

Przypominam sobie z téj okoliczności Abdermana III Maura, który panował nad najpiękniejszą krainą Europy, i którego imię błąka się jeszcze echem na ruinach jego przepysznego pałacu. Żył on długie

lata, a przed śmiercią w testamencie swym skreślił w dodatku te pamiętne i trafne słowa:

,,Panowałem z chwałą lat pięćdziesiąt — szczęśliwy w pośród méj rodziny, wielbiony od poddanych, szanowany od nieprzyjaciół. Widziałem spełniające się wszystkie moje życzenia, udające się wszystkie me przedsięwzięcia — doznawałem rozkoszy jakie tylko bogactwo, chwała i potęga dać mogą, a policzywszy wszystkie dni, w których całkowicie sądziłbym się szczęśliwym znalazłem ich tylko — czternaście!!

Augustyna S.

Pogadanka Tygodniowa

W zeszłym numerze przyrzekłem rozprawę z panem Józefem Bergerem, właścicielem jednéj z tutejszych drukarń. Spełnienie tego przyrzeczenia robię z prawdziwą przyjemnością, bo choć p. Bergera osobiście szanuję i poważam, choć złośliwość szkaradną wadą, mam jednak niezmyśloną ochotkę cokolwiek mu dokuczyć.

Kwestja dotyczy pracy kobiecéj, a w szczególności w sztuce drukarskiéj.

Przed miesiącem, jedna z Warszawianek, zapragnęła zostać zecerką.

Drukarnia do któréj o pomoc zakołatała, najprzód odpowiedź odwlekła, a później wymówiła się brakiem miejsca, czyli mówiąc jasno i wyraźnie, brakiem dobrych chęci. Pan Berger w sprawie tak ważnéj wystąpił z obszernym artykułem w Gazecie Polskiéj.

Dla zecerek, powiada p. Berger ze względu saméj przyzwoitości, należy w drukarni przeznaczyć osobne pomieszczenie, a zatem zrobić podział tego, co tylko razem zebrane stanowi całość. W ostatnim razie, tylko na zecerki przy Gazetach możnaby się zgodzić, bo składałyby jednem i tem samem pismem, bez żadnych ozdób, tytulików i t. d. a zatem potrzebowałyby jak najmniéj zajmować osobnego miejsca. Pozostaje więc założenie osobnéj dla kobiet drukarni, na co zgadzając się p. Berger, zapytuje jednak, do jakiego minimum zejdzie płaca przyszłych zecerek, jeżeli będą tylko do jednego miejsca przykute, bez możności przeniesienia się do innego zakładu?

Łatwo to, powiada daléj p. B. pod przykrywką filantropji i folgując zachceniom kilku, a choćby też kilkunastu malkontentek, popychać, jak u nas wcale jeszcze bez potrzeby, kobietę od dzieciństwa do jarzma fabrycznego, nie okazując jéj żadnego widoku na przyszłość. Odwołuję się tu do świadectwa tyłu naszych drzeworytniczek, nie mających żadnego zatrudnienia.

W rozbiorze kwestji pod względem moralno społecznym, p. Berger przytacza zdanie dwóch znakomitych uczonych, wypowiedziane w Berlinie na wolnem zebraniu Ekonomistów. Jeden z nich, p. Smith powiada, że powołaniem kobiety jest być gospodynią i matką, że idąc za późno lub wcale nie wychodząc za mąż, nie czyni zadość powołaniu swemu. Że wreszcie urządzenia mające służyć ogółowi, nie można opierać na potrzebach wyjątków, które chybiły przeznaczeniu swemu. Daléj znowu rozwodzi się nad wartością i znaczeniem rodziny, jak gdyby panna umiejętnością jakiéj pracy, zabezpieczającéj ją na wszelkie wypadki losu, koniecznie być musiała złą żoną i złą przewodniczką rodziny.

Czyż to praca psuje ludzi? Czyż zmusza do poświęcania się jéj niezbędnego, choć okoliczności nie będą tego wymagać? Co może szkodzić rodzinie, jeżeli pani domu w panieńskim stanie umiała sama na siebie pracować, zupełnie tego nie pojmuję?

W poparciu swego dowodzenia p. Berger daje opis Drukarni w Londynie wyłącznie z kobiet złożonéj, przetłómaczony wiernie z pisma dla samych drukarzy przeznaczonego. Obrazek to wcale niepowabny, nieporządek i niedołęztwo wszędzie jaśnieją. Zecer-

ki przychodzą późno, składają pismo z tysiącami błędów, śmieją się chichoczą i żartują, mało robią, próżniaczą, są niechętne a tylko jedna z nich trzydziesto-letnia co pracowała tak jak powinna, z właściwą pilnością i dokładnością.

Druga dyspozytorka drukarni, mająca lat 85 (tak) siedząc przy pracy na wysokim stołku, z okularami na nosie poważnego kalibru, a z czepkiem na głowie, którego wstążki i falbany spadając ciągle na oczy zasłaniały światło, składała według zdania autora najwyżéj trzy wiersze na godzinę. Słowem, zakład cały znajduje się w ostatecznem rozprzężeniu i grozi mu pewne bankructwo.

Gdyby p. Berger, dał nam był opis drukarni kobiecéj jak najstaranniéj prowadzonéj, usiłującéj wszelkiemi sposobami dorównać pracy męzkiéj, z zecerkami pilnemi, pracowitemi, umiejętnemi a jednak mimo największego mozołu, nie mogących spełnić swego zadania, byłby to rzeczywiście silny dowód, przeciw poświęceniu się kobiet sztuce drukarskiéj. Przedstawiając drukarnią niedołężnie prowadzoną, obznajmił nas tylko ze smutnemi tego następstwami, ale nie przekonał. Czyż bowiem nie mamy zecerów niepilnych i nieumiejętnych? Czyż u nas każda drukarnia z samych mężczyzn złożona, oznacza się właściwą starannością tak w korrekcie jak w odbiciu? Wychodzące u nas książki i pisma aż nadto świadczą, że nam pod tym względem wiele jeszcze brakuje. A któż je drukuje, czyż nie sami mężczyzni?

Drzeworytniczek prawda że mamy dziś więcéj jak potrzeba, ale to jest proste następstwo każdéj nowéj myśli w czyn wprowadzanéj. Kobiety zrozumiawszy potrzebę pracy dla siebie, biegną tłumnie do każdego zawodu świeżo dla nich otwartego. Ztąd większe żądanie jak możność zadość mu uczynienia, niech jednak podwoje każdego zajęcia chętnie dla nich otwarte zostaną a ciżba się zmniejszy, bo każda pójdzie tam gdzie ją wewnętrzne usposobienie pociągnie.

Przyznać jednak należy, że p. Berger w artykule swoim starał się o ile można być bezstronnym. Uznając opis kobiet angielskich jako zecerek za nadto czarno odmalowany, przytacza w całości prospekt p. Payne, o założeniu pod Lipskiem drukarni dla samych kobiet i takiéj saméj utrzymywanéj już dawno przez p. Dupont we Francji pod Paryżem.

W prospekcie powody i użyteczność podobnego zakładu jasno i zupełnie przekonywająco wyłożono: co zaś do drukarni p. Dupont, możemy zapewnić, że wybornie rozwinięta, na obecnéj Wystawie w Paryżu, przedstawiona jest w działaniu, i że oglądający z podziwem przyglądują się zręcznéj i dokładnéj robocie zecerek. Co więc udało się we Francji, dla czegóż nie miałoby się powieść w Anglji, albo w innem miejscu?

Ale jest jeszcze jedna kwestja, nauki i wzgląd przy niéj, jak powiada p. Berger, przyzwoitości. Rozważając ten zarzut, mimowoli nasuwa się domysł, że Towarzysze sztuki drukarskiéj inaczéj zwani zecerami, muszą chyba być Irokezami z dzikich stepów Ameryki, bez pęt i munsztuka nie mogącemi żyć w ucywilizowanym świecie.

Pierwsza kobieta, o ile przypominam sobie, Emilja Blacvell, Amerykanka która uczyła się medycyny w uniwersytecie w pośród setki młodzieży dwudziestoletniéj, już z saméj natury obranego zawodu, miała daleko większe trudności do pokonania, a jednak jednem odwołaniem się do rozsądku i godności swych kolegów, prześladowców i żartownisiów najzjadliwszych przerobiła na gorliwych swoich obrońców pełnych czci i poszanowania. Dlaczegóżby coś podobnego nie miało mieć miejsca z kobietami uczącemi się od zecerów sztuki drukarskiéj? Gdyby np. pan Berger, pragnąc ułatwić kobietom naukę drukarstwa, wprowadzając jaką panienkę na ucznia do swéj pracowni, przemówił mniéj więcéj w te słowa:

— Panowie! Oto jest panna X. która pragnie waszéj nauczyć się pracy. Oddaję ją więc pod opiekę waszą, jesteście powiększéj części mężami i ojcami rodzin, a wszyscy szanujecie godność własną, najdobitniéj przedstawiającą się w poszanowaniu kobiety, nie zapominającéj równie o swojéj godności. Odwołuję się przeto do waszego rozsądku i serca, wspomnijcie, że opieki jakiéj dziś domagam się dla kandydatki, wy kiedyś żądać może będziecie dla waszych córek. Rozsądek wskaże wam środki właściwego postępowania, serce obudzi dobrą wolę i współczucie, a Bóg wynagrodzi błogosławieństwem.

Gdyby więc p. Berger w podobnym sposobie odezwał się do swoich pracowników, czyż głos jego nie zostałby wysłuchany? Od lat ośmnastu mając ciągle do czynienia z drukarniami, jestem najzupełniéj przekonany o pożądanym skutku podobnéj odezwy. Gdyby zaś, zwyczajnie jak między ludźmi, zdarzyły się jakie wybryczki, przyzwoite postępowanie uczennicy, nie dałyby się im w szkodliwy sposób rozwinąć,— zwłaszcza gdyby była otoczoną troskliwą opieką samego właściciela.

Ale przeciwnicy, może zawołają wielkim głosem, że jeżeli składanie i łamanie może być przez kobiety dokonywane, to przenoszenie kolumn byłoby za ciężkie na ich siły fizyczne. Być to wszystko może, ale wprzód należy odbyć próbę a późniéj wyrokować. Mnie bowiem nie idzie o rozbiór, czy praca ta jest lub nie jest dla kobiet odpowiednią, ale o ułatwienie i pomoc tym, któreby się pragnęły drukarstwu poświęcić.

Czym dowiódł założenia? - osądźcie:— czym dokuczył panu Bergerowi? nie wiem, ale radbym jako przeciwnikowi rozwoju pracy kobiecéj, do którego gdyby chciał mógłby się wielce przyłożyć.

ROZCZAROWANIE.

O jam nie zawsze gorzkie chwile miał,
I mnie się niegdyś świat uprzejmie śmiał;
I jam w rozkoszy, jasne, drobne dziecię,
Na niwie życia zbierał wonne kwiecie.

I jam rozkoszy świetne mary śnił,
I jam miłości boskim tchnieniem żył;

I moje ogniem promieniące lice,
Paliły wzrokiem, dumnych serc dziewice,

O! jakżeś prędko minął złoty śnie,
O! jakże krótko kołysałeś mnie;
Sokolim skrzydłem musiałeś odlecić,
By błędnym ogniem życiu memu świecić.

Ach! po cóż było moją lubą znać,
Z zatrutych kwiatów zwodną słodycz ssać,
By ledwo poznać, ledwo kochać, tracić,
I wiekiem żalu chwilę szczęścia płacić.

Wieczności, w tobie człek nadzieję ma,
Tam tylko przyjaźń, miłość wiecznie trwa,
Tam na zbawienia wiekuistym łonie,
Żadna serc naszych żądza nie owionie.

Ignacy Stopczański.

Liście jesieni.

Lecą listki z drzewa,
Już zeschłe, zwiędnione,
Wicher je rozwiewa,
Jak chwile minione,
Co niegdyś dla duszy
Świeciły tak jasno,
A kwiaty wśród suszy
I bledną i gasną.
Przeminęła wiosna,
Przyszły dnie jesienne,
W lesie tylko sosna,
Ma szaty niezmienne.
Tracą liście drzewa,
Wicher zimny wieje,
I ptak już nie śpiewa,
Zgłuchły leśne knieje.
Wszędy smutno w świecie,
Zwiędły kwiaty wiosny,
Burza śniegiem miecie,
Ucichł śmiech radośny.
Dusze jak okowy,
Ściska moc tęsknoty,
Bywaj nam już zdrowy,
Śnie o szczęściu złoty!
Słońce stopi lody,
I zakwitną kwiaty,
Ale czyj wiek młody,
Stroją smutku szaty?
Kto nie zaznał w świecie
Nic, oprócz tęsknoty,
Kto już małe dziecię.
Miał imię sieroty,
Kto chleb swój codzienny,
Połykał ze łzami,
I szedł w świat niezmierny,
Samotnych ścieżkami,
Kto wierzył zdradzony,
I poniósł ofiary,
Za uśmiech kłamany
I za uczuć mary...
Ten się nie rozgrzeje,
U słońca promieni,
Bo zwiędły nadzieje,
Jak liście jesieni!

Liljana.

O UBIORACH

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

Dzisiejsze sprawozdanie nasze poświęcimy sukniom, które pierwsze magazyny paryzkie okazały na wielkiéj wystawie. Suknie te w ogólności nadzwyczaj kosztowne, trudne byłyby do naśladowania, gdyby czytelniczki nasze chciały się trzymać niewolniczo opisu, ale każdą z owych sukien można zrobić z mniéj kosztownego materjału, przybrać w skromniejszy sposób, a tem samem uczynić dostępną.

Jedna z nich z magazynu sławnego Gagelin'a popielata jedwabna, krajana w kliny, miała u dołu falbanę na cwierć łokcia, fałdowaną na jedną stronę, zakończoną w śpiczaste zęby objęte rulonikiem.

W górze falbanę tę przytwierdzał warkocz spleciony z trzech jedwabnych rulonów grubych na palec. Z tyłu od paska spadały wzdłuż spódnicy, trzy takież same warkocze, długie na łokieć i pół — przytwierdzone u dołu kokardami z takiejże materji. Stanik gładki pod szyję, spięty na szmuklerskie guziki, przepasany jedwabnym paskiem, miał plecy i przody naszyte węższą plecionką, złożoną z cieńszych ruloników: plecionka ta przechodziła w górę od paska w równych odstępach, tworząc jakby gorsecik. Rękawy wązkie przybrane były pletnią z rulonów tak u ręki jak na ramionach.

Taka suknia z gęstego bareżu z koziéj wełny, przybrana pletnią z fularowych gładkich rulonów, bardzo ładnie i świeżo wygląda. Suknię w kolorze niewarowym można przybrać pletnią brązową — albo zieloną, do sukni jasno popielatéj — ładnie wygląda pletnia fijołkowa albo niebieska. Wiele téż sukien ubierają pletniami tego samego koloru— w odcieniu cokolwiek ciemniejszym.

Druga suknia także od Gagelin'a, jedwabna koloru Hawanna, składała się z dwóch krótkich spódniczek. Pierwsza z nich znacznie ciemniejsza, prawie brązowa, miała nad obrębem plisę objętą jasnemi wypustkami — wierzchnia spódniczka otwarta była tak z przodu jak po bokach. Przód cały spinał się na klapki, przytwierdzone guzikami, — z pomiędzy tych klapek wyglądała spodnia spódniczka.

Boki spięte były u dołu na wielką szmuklerską rozetę. Wierzchnia ta spódniczka, dłuższa cokolwiek z tyłu niż na przodzie, kończyła się u dołu frendzlą jedwabną w dwóch odcieniach. Paletocik do tego krótki, spięty z przodu na rząd klapek, w koło objęty pliską, rękawy miał szerokie, spadające, zakończone u dołu frendzlą; — z pod tych wychodziły drugie obcisłe, ciemniejsze.

Można taką suknię zrobić z alpagi w dwóch odcieniach, frendzla nie jest do niéj konieczną.

Trzecia suknia biała pikowa, naszyta była u dołu, czarnym sutaszem w deseń, tworzący piramidę na każdym brycie. Kaftanik do tego w szczególnéj formie, długo wycięty u szyi, z wyłożonym długim kołnierzykiem, podcięty był mocno u dołu. Te dwa podcięcia zchodziły się prawie z sobą, tak że kaftanik spięty był tylko na jeden czarny lawowy guzik w środku piersi. Od dołu wyglądała kamizeleczka szamerowana sutaszem— spięta na rząd drobnych czarnych guzików z oznaczonemi kieszonkami. Kaftanik w koło również był wyszywany.

Czwarta suknia jedwabna koloru orzechowego, krótka do wyjścia na przechadzkę— miała pierwszą spódniczkę znacznie ciemniejszą — przybraną trzema plisami, po obu stronach każdéj plisy szedł jaśniejszy rulonik. Wierzchnia spódniczka jaśniejsza miała znów trzy plisy — z ciemnemi wypustkami. Do tego paletocik podłużnie wycięty u szyi, tego odcieniu jak wierzchnia spódniczka, przybrany był w koło szeroką plisą ciemną. Przody od dołu mocno podcięte zachodziły jeden na drugi, i spinały się na dwa guziki szmuklerskie. Rękawy średniéj szerokości przybrane były stosownemi plisami u ręki.

Piąta suknia biała muszlinowa, miała dół z przodu ułożony w drabinkę, ze wstawek haftowanych i koronkowych. Drabinka ta z obu stron kończyła się wstawką koronkową (*valencienne*) na niebieskim podwleczeniu. Z pod niższéj, spadała falbanka koronkowa szeroka na ćwierć łokcia. Tył sukni przybrany był u dołu dwoma wstawkami na niebieskim, z pod których spadały falbanki koronkowe. W miéjscu gdzie falbanki dochodziły do boków, przytwierdzone były kokardami ze wstążki niebieskiéj;— stanik gładki, naszyty wstawkami, przepasany był szarfą muszlinową, spiętą z boku ne niebieską kokardę. Dół szarfy przeszyty wstawkami, objęty był falbaną koronkową. Dopełniały ubrania szelki ze wstawek koronkowych, podwloczone wstążką,—objęte koronką spadającą na ramiona. Przód spódnicy poniżéj paska, naszyty był również wstawkami, i koronką. Naszycie to tworzyło, jakby maleńki fartuszek.

Suknia ta oszacowana kilka tysięcy franków, mało dla kogo może być dostępną, zastąpiwszy jednak koronki karbowanym muszlinem i trzymając się wzoru w głównych zarysach, wykonać można z niego śliczne suknie letnie dla naszych Warszawianek, czy to do ślubu, czy na wieczorki.

S. z Ż D.

RĘKAWICZKI.

Z przyjemnością donosimy czytelnikom naszym, iż udało się nam znaleść w Warszawie, krajowego wyrobu, wyborne wszelkiego gatunku rękawiczki, nie ustępujące w niczem zagranicznym, a o wiele przewyższające je taniością.

Ktoby chciał zaopatrzyć się w ten artykuł, niezbędny do porządnego ubrania, radzimy mu udać się do pana Czartowskiego na Mostowę Ulicę pod N. 220/1, (po lewéj stronie idąc od kościoła Paulińskiego). P. Czartowski znany dobrze tutejszym rękawicznikom ze swéj fachowéj biegłości, od niedawnego czasu, na swój rachunek przedaż rękawiczek rozpoczął, a nie mieszkając przy ulicy pierwszorzędnéj, gdzie utrzymanie i najem sklepu tak kosztowne, jest w możności sprzedawać swoje wyroby taniéj niż się to praktykuje gdzieindziéj. Dla tego u p. Czartowskiego można dostać rękawiczki wyborne, bez kliników po 62 i pół kop. (złp: 4 gr. 5), a klinikowe po 52 i pół kop. (3 zł. gr. 15).

Tak zwane litewskie, stębnowane, a dziś w zwykłem będące użyciu kosztują 67 i pół kop. (zł. 4 gr. 15); kozłowe nie ustępujące paryzkim Juvena, płacą się tu po rublu, gdy w eleganckich naszych sklepach trzeba po 9 złp, i drożéj je płacić.

Z tego widzimy, iż p. Czartowski dobrze zrozumiał swój interes, poprzestając na mniejszym zarobku, gdyż tym sposobem może pozyskać wziętość i uznanie powszechne.

Symbolika kwiatów i roślin ozdobnych.

Ponieważ w robotach ręcznych kobiecyah, jako też i w ich stroju, kwiaty i piękniejsze rośliny, nie-poślednią rolę odgrywają, zdaje nam się przeto, że treściwe podanie symboliki tych tak wdzięcznych tworów przyrody, nie może być bez zajęcia. Lecz podanie takie wewnętrznego znaczenia kwiatów, wtedy tylko stanie się prawdziwie użytecznem, jeśli będzie obejmować nie tylko ich symbolikę ogólną, ale także znaczenie, jakie w naszym kraju mają, zwłaszcza u ludu, który ma więcéj sposobności z przyrodą roślinną się stykać, i z niéj jakby wyczytywać to, co poetyczny nastrój ducha ludzkiego dopatrzeć jest zdolny. W téj myśli wciągnęliśmy do tego opisu największą część takich kwiatów i roślin, które albo są nasze rodzime, albo też najpowszechniej pielęgnowane, bądź w mieszkaniu, bądź w ogrodzie lub cieplarni. Nie dotknęliśmy tu jeszcze zupełnie drzew krajowych, bo te mogą stanowić odrębną całość, którą na czas późniejszy odkładamy. Chcąc zaś wytłómaczyć się bliżej z naszego zadania, powimy jeszcze nieco o znaczeniu saméj symboliki, kiedy powstała, i dla czego ciągle się utrzymuje.

W każdym pierwotnym, dziecinnym niejako stanie społeczeństw ludzkich, przyroda staje się zawsze symbolem najwyższéj potęgi — godłem bóstwa. W miarę dojrzewania myśli ludzkiéj, te pierwotne i grube pojęcia, uduchowniają się i zmieniają coraz bardziéj, lecz pozostaje jeszcze mnóstwo przedmiotów, do których i dziś łączy się ciągle pewna myśl oderwana, abstrakcyjna, bo umysł ludzki pragnie zawsze mieć uzmysłowionem pojęcia, bądź idealne, bądź umysłowe, bądź nawet materjalne objawy przyrody.

Przyroda roślinna, dostarcza zawsze najwięcéj symbolów, bo też i cały świat roślin, jest symbolem życia. Już w potocznéj mowie, człowiek chcąc oddać różne stopnie rozwoju życia fizycznego i duchowego, używa takich wyrażeń, jak np. rzucił *nasienie* niezgody, — nosi w sobie *zarodek* śmierci,— *wzrósł* w naukę i rozum, — *zakwitła* rumieńcem na licach, jest w *kwiecie* wieku, — ma rozum *dojrzały*, — *owocu* swych prac nie kosztował i. t. p. W ogóle kwitnienie i kwiat, jest symbolem najwyższego rozwoju życia, szczęścia i uciechy, miłości i przyjaźni, i ściąga się też w umyśle ludzkim i do jego strony religijnéj, bo cóż słuszniejszego jak wieńczyć kwiatami to, co jest najpiękniejsze, co stanowi najwyższą prawdę i dobro.

Kiedy więc tak rozległe jest znaczenie kwiatów, kiedy się tak ściśle łączą z sercem i uczuciami ludzkiemi, poeci opiewają je też w najrozmaitszy sposób, i do swych obrazów najczęściéj używają.

W poezyi starożytnéj Helladdy, zwłaszcza w mitologii, każdy niemal kwiat piękniejszy, każda ważniejsza roślina, ma swą osobną historyją, łączącą się prawie zawsze z Olimpem, z historją ówczesnych bogów. Wiele z tych symbolów, przeszło i do świata chrześciańskiego, przytoczymy przeto ważniejsze kwiaty i rośliny, z któremi dziś łączy się jeszcze jakaś myśl symboliczna, rodzima lub mitologiczna.

(d. c. n.)

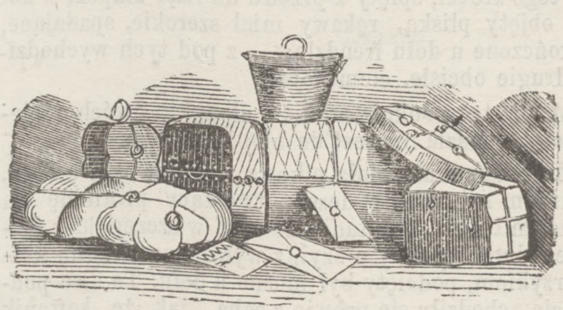
OPIS RYCINY KOLOROWANEJ.

Figura 1. Suknia zielona z gęstego bareżu *fil de chèvre* albo fularu.

Spódniczka pierwsza naszyta w drabinkę wstążką lub materją czarną. Wierzchnia spódnica gładka długa. Stanik otwarty z odwiniętemi klapkami czarnemi, spięty na dwa rzędy czarnych jedwabnych guzików. Pasek czarny jedwabny, przybrany baskiną z klapek, zakończonych czarnemi kwastami. Kapelusz ze słomy brukselskiéj przybrany wieńcem zielonych liści i *mantylą* czarną koronkową.

Figura 2. Ubranie eleganckie na rano lub dla osoby słabéj na cały dzień.

Szlafroczek popielaty z gładkiego fularu, krajany w kliny na kształt Gabrjeli, otwarty na spódniczce fijołkowéj fularowéj. Dół i boki obszyte pasmanterją czarną. Rękawy podwójne: jedne wązkie, drugie pagody podbite fijołkowym fularem. Fryzka z wązkiéj walansienki.



Pani B. Pa. Para rękawiczek kozłowych stebnowanych kosztuje rs. 1 kop. 20. Łokieć *poult de soie* w najlżejszym gatunku rs. 1 kop. 20.

Pani Włady. Bro. Dwie poszewki haftowane na półbatyście kosztują 16 rs. — mała poszeweczka rs. 4. Cena haftowanych poszewek dochodzi do rs. 30 — na prawdziwym batyście do rs. 50.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina paryzka kolorowana.

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj. Redaktor J. K. Gregorowicz.

Dodatek do Nr. 26 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 17 (29) Czerwca 1867 r.

DANIEL ROCK

POWIEŚĆ,

Z FRANCUZKIEGO

PRZEZ

ERKMANA-CHATRIANA.

(Dalszy ciąg).

Mer zbladł jak trup, brzytwa zadrżała mu w ręku — nogi zachwiały się pod nim.

— Prędko szarfę, podajcie mi szarfę! krawat biały... Krystyno... Krystyno.. czy słyszysz? — podaj szarfę.

Krystyna przybiegła przerażona... mer opasał szarfę w koło bioder, i biegł jak opętany, powtarzając niezrozumiałe słowa.

— Ha! potępieńcy... rozbójnicy Rockowie! dam ja wam! istne gniazdo jastrzębi..... powywieszać wszystkich... spalić żywcem... wszystkich bez miłosierdzia... Targnąć się na cywilizacją... na dobroczyńców kraju.., rabusie... łotry... hultaje...

Tak wykrzykując dobiegł do oberży pod Łabędziem. W téjże chwili robototnicy przynieśli na noszach pana Horacego — a za nim kilku innych. Tłumy ludzi cisnęły się w koło rannych.

Niepodobna opisać krzyku i rozpaczy młodych pań. Dianna z rozpuszczonemi włosami, rzuciła się na nosze Horacego; Malwina okładała wodą z octem twarz Cypryana,— Julietta wołała o pomstę, Anatol zemdlał, — a stary żyd Eljasz, żółty jak wosk, załamywał ręce, kiwał głową, i wołał przez nos.

— Biedny panicz, biedny panicz — Eljasz Blum żałuje cię całem sercem. Nieszczęście, mój Boże nieszczęście!

Słudzy popędzili konno do Sawerny po doktorów i po lekarstwa.

Jęki biednych matek, na widok pokrwawionych synów — rozdzierały serca obecnych: stare kobiety darły so'ie garściami włosy z głowy... nigdy we wsi nie widziano nic podobnego.

Mer Zacharjasz na ten widok, przeklinał w pień Rocków, wykrzykując co mu ślina do ust przyniosła.

W rzeczy samėj Horacy ciężko był rannny, — zaledwie że dawał znak życia.

Cyrulik Trejlig, który strzygł mu zwykle bujne czarne włosy, widząc porąbaną czaszkę, oświadczył że wyłysieje z pewnością, i zmuszony będzie nosić perukę.

Dianna słysząc ten wyrok, upadła na ziemię zemdlona.

Cała wieś domagała się groźno puszczenia z dymem gniazda drapieżnych Rocków: — nikt jednak nie poważył się pierwszy przystąpić do ich domu; wiedzieli wszyscy że stary Benedum był tam z młynarczykami: pamiętano dobrze dawną przyjaźń Daniela z Frantzem -- i zaręczyny Ludwika z Teresą; nikt bowiem nie słyszał o rozerwaniu związków.

Widzieli wszyscy jak młynarz z synem i młynarczykami, podjął z ziemi — starego Daniela, Kacpra, i Krystjana, jak ich położyli na nosze, zanieśli do domu, i tam pozostali przy rannych.

Biedny oberżysta Schwartz latał jak oparzony... żądano od niego dziesięć rzeczy na raz:.. bielizny— szarpi — octu... wody świeżéj... nieborak całkiem stracił głowę.

Co raz większe niebezpieczeństwo groziło Horacemu... Puls jego uderzał coraz słabiéj.

Pojawili się wreszcie na drodze chirurgowie z Felzenburga, nadbiegający spiesznym cwałem.

Tłum rozstąpił się; tysiące głosów wołało o ratunek. Chirurgowie zsiedli z koni przed oberżą, weszli do sali i na rozkaz ich pozamykano okna.

Rozpacz ogarnęła nieszczęśliwych— poczęli krzyczeć na głos:

— Toż oni tylko przybyli dla bogatych — a nie dla nas!

W téjże chwili Benedum wyszedł z chaty kowala, i przybiegł spiesznie do drzwi oberży. Zamknięte były na klucz. Wstrząsnął niemi gwałtownie, i już miał je wysadzić — kiedy ukazał się w progu— mer Zacharjasz obok Schwartza.

— Czego chcecie zagadnęli żywo.

— Chcę żeby doktór pospieszył do przyjaciela mego Daniela — jest ich tu trzech... widziałem jak zsiadali z koni... potrzebuje tylko jednego.

— Panie Benedum, rzekł mer zniżonym głosem, gdyż doktorzy naradzali się z sobą — strzeż się!... twój pospiech świadczy że byłeś może ich wspólnikiem.

— Posłuchaj mnie, panie Zacharjaszu, przerwał młynarz, tyś sam sprowadził nieszczęście: tyś pierwszy głosował na drogę żelazną! I po cóż nam ta przeklęta droga? Czyż nam źle było bez niéj?

— Nie oto idzie zawołał mer, niech pomrą do licha rozbójnicy, to najlepsza rzecz, jaka ich spotkać może. Ty zaś, miej się na baczności.

Benedum wściekał się od gniewu; ale z głębi otwartéj sieni, spostrzegł z jakie dwadzieścia groźnych twarzy. Siła złego na jednego — nie podołać mu przeciw tylu. Odszedł z rozpaczą w duszy— nie podobna mu było wybłagać pomocy dla Daniela!

Stary Rock leżał wyciągnięty na stole, dwaj synowie leżeli na łóżku, jeden koło drugiego; żaden z nich nie poległ dzięki budowie atletycznéj. Ojciec Daniel otworzył nawet jedno oko, drugie bowiem ugodzone motyką. zbroczone było krwią... Poznał Teresę i usiłował uśmiechnąć się do niéj.

Benedum wszedł do izby. Teresa załamując ręce z boleścią badała go spojrzeniem. Stary młynarz smutnie pochylił głowę.

Głęboka nastąpiła cisza. Odmówienie pomocy było wyrokiem śmierci. Od godziny Teresa daremnie usiłowała zatamować krew ubiegającą z niezliczonych ran ojca. Straszno wyglądał ten olbrzym, tak barczysty, tak groźny, z piersią obnażoną, pokrytą sińcami, z szeroką głową ciężko porafnioną, z siwym pokrwawionym włosem i z krzepkiemi lecz bezwładnemi rękoma. Duch nie uciekał jeszcze z piersi, lecz gdyby ratunek nie dopisał, gdyby krew ubiegała, śmierć nastąpiłaby niechybnie.

Bóg jednak zatwierdził w wyrokach swoich, że Daniel Rock, nie umrze w tym dniu z synami: znać przeznaczał ich na nowe próby:

W chwili kiedy wszystko zdawało się stracone, dał się słyszeć tentent kopyt końskich po bruku, i niebawem ujrzano przez okno, człowieka trzydziesto-kilko-letniego, wysokiéj i kościstéj postawy, z czarną najeżoną brodą, z czołem zlanem kroplami potu, w szaraczkowym surducie, na koniu kasztanowatym, równie chudym i kościstym jak i pan jego.

Szybko zeskoczył z konia; wbiegł do izby wołając na głos:

— Bądźcie spokojni... to ja!..

— Doktór Marchal! zawołał Benedum, chwała Ci Boże — jesteśmy ocaleni!

Teresa dotąd silna i odważna w obec boleści, Teresa, która nie straciła mocy duszy, podczas zaciętéj walki, posłyszawszy te słowa, zachwiała się i upadła bez zmysłów. Ludwik pochwycił ją w objęcia.

Doktór Marchal szczery zwolennik drogi żelaznéj, a obok tego zapamiętały miłośnik starych zwalisk, medalów, odwiecznych kronik i pargaminów, okazywał zawsze prawdziwy szacunek dla Daniela. Równe zamiłowanie w starożytnościach krajowych, równa cześć dla zabytków przeszłości, a przytem jedność plemienna, uderzająca na pierwszy rzut oka, wszystko to łączyło ich węzłem serdecznego współczucia.

Doktór objeżdzając wsie po górach dla szczepienia ospy, skoro się tylko dowiedział o bójce, przybiegł cwałem aby opatrzyć rany starego Daniela i jego dzielnych synów. Takiemi to dowodami objawia się hart duszy i prawdziwe poświęcenie.

W ciągu dnia tego, lekarze nie mało mieli pracy w Felzenburgu: mnóstwo nastawili rąk i nóg uszkodzonych.

Przed wieczorem przybyli żandarmi: udali się prosto do domu ojca Rock, w towarzystwie mera i niezliczonéj gawiedzi.

Był przy Danielu Frantz Benedum z synem Ludwikiem, był także pleban Niklaus, który przybiegł natychmiast dowiedziawszy się o nieszczęściu. Teresa siedziała na ławeczce, nieruchoma i zapłakana, w najciemniejszym kątku izby, młynarczyki krzątali się żwawo około chorych, ojciec Daniel leżał jeszcze na stole, a w wielkiem łóżku w bliskości drzwi, leżał Krystjan i Kacper, obaj poowijani szmatami, zarówno jak i ojciec.

W téj chwili chorzy czuli się lepiéj — wszyscy trzéj odzyskali przytomność. Doktór Marchal, zabierał się już do odjazdu, przyrzekając że wróci nazajutrz rano: lecz na odgłos szczękających pałaszy i na huk sabotów po bruku, doktór wrócił do izby, i poszepnął do ucha Teresie.

— Nie ma tu czasu do stracenia... co przewidywałem nastąpiło... Bądź spokojna ,nie trwoż się moje dziecię.

Przystąpił potem do ojca Daniela — spoczywającego na wielkim materacu.

— Biedny mój stary rzekł — patrz, oto żandarmi.

— Słyszę ich — odrzekł Daniel z łagodnym uśmiechem, przyłapali nas, istnie jak królików w jamie: nie podobna się bronić!

— To szczęście dla was — szepnął doktór —wiecie dobrze Danielu czem to pachnie.

— Tak, wiem, kiedy wilk stracił zęby, łatwo mu wtedy mówić o wstrzemięźliwości.

Domawiał właśnie tych słów, gdy brygadjer żandarmów Werner, któremu Daniel nie raz podkuwał konia, i z którym nie jeden wychylił kieliszek, — wszedł smutny do izby, podnosząc w górę pałasz, aby nie robić hałasu.

— Przykro, mi ojcze Danielu, zagadnął, że zmuszony jestem zabrać was ztąd razem z synami do szpitala w Phalzburgu.

— Dobrze mój Wernerze — odparł Daniel — spełnijże twoją powinność.

— Tak, to powinność moja. Ależ co u licha ojcze Rock, wy człowiek poważny i szanowany od wszystkich... słowo honoru to mnie ciężko martwi... No! ależ co robić?.. dobre i to że ja was sam przeprowadzę.

— Rad jestem mój Wernerze.

— W tym stanie, rzekł brygadier, nie ma potrzeby okuwać was w kajdany.

W téj chwili stary kowal spostrzegł we drzwiach mera, który poglądał nań z uśmiechem zadowolenia. Na ten widok krew zakipiała mu w piersi.

— Czego tu chcesz ty? zawołał z zaiskrzonym wzrokiem.

— Bez téj poufałości, odrzekł mer— ja sam rozkazałem cię uprowadzić z tych miejsc, a to dla twego dobra, bo zniewaga wyrządzona inżenierom, oburzyła wszystek lud we wsi.

— Co on mówi? — co on mówi? przerwał kowal — precz ztąd, krew burzy się we mnie, precz ztąd!

— Uspokój się Danielu — wyszepnął łagodnie ksiądz Niklaus — uspokój się — błagam cię o to.

Daniel zamknął oko i westchnął.

Wówczas dopiero Werner dostrzegł białą jak śnieg głowę dobrego plebana — przyłożył rękę do kapelusza i zagadnął półgłosem:

— Sługa pański ojcze plebanie... smutny to wypadek.

— O! prawda że smutny! panie brygadjerze! odrzekł zacny kapłan — nastąpiła potem uroczysta chwila milczenia.

— I jakże zrobimy? — zagadnął wreszcie Werner do obecnych.

— Panie Werner — rzekł doktór, ci ranni nie mogą być przewiezieni w takim stanie.... ja za nich nie odpowiadam.

— Boleję na tem panie doktorze — ale otrzymałem wyraźny rozkaz — patrz pan...

— Dość na tem — odparł doktor — pragnąłem tylko zrucić z siebie odpowiedzialność.

Wyrzekłszy to, doktór szepnął kilka słów do ucha młynarzowi, który kazał śpiesznie chłopcom zaprządz parę koni do woza.

Teresa milczała bez przerwy.

Nadeszła noc, głęboka ciemność ogarnęła izbę, do której tłoczyło się mnóstwo ciekawych. Zegar pomału wybijał kwadranse. Wkrótce ciężki wóz zaturkotał po bruku.

Ludwik nie mogąc się dłużéj powstrzymać, wybuchnął cichem łkaniem, i w téjże chwili przenikliwy okrzyk wyrwał się z piersi biednéj Teresy.

— Ten krzyk, na wskróś przeniknął obecnych zimnym dreszczem.

Daniel który zdawał się uśpiony zawołał z cicha:

— Tereso — chodź tu dziecię moje.

Dziewczyna przybiegła — upadła na kolana, zanosząc się od płacu.

— Ojciec z trudnością obrócił głowę: łza potoczyła się po bladéj twarzy... długo poglądał z miłością na córkę.

— Tereso — bądź spokojna — chcę tego — powinnaś mnie słuchać... nie płacz tak — łzy twoje ciężko ranią mi serce. Ja odjadę... widzisz... wola drugich silniejsza od mojéj. Ale błogosławię cię moje dziecko... Błogoławieństwo ojca rosa niebieska pocałuj mnie... tak... Tereso... biedne ty dziecię moje!

I łkanie ich pomięszało się razem — wielu z obecnych uciekło, nie mogąc znieść tego widoku.

Pleban podparty łokciem o komin z siwą głową pochyloną na dłoń zanosił się od płaczu. Sam Werner, odwrócił oczy, i krzepiąc w sobie odwagę poskoczył żywo ku drzwiom.

— Precz ztąd zawołał na zgromadzony lud — Hanz — rozegnaj co żywo hołotę.

Po chwili Daniel poruszył się znowu na pościeli.

— Tereso, rzekł, podaj mi rękę— Ludwiku chodź tu mój synu.

Ludwik zbliżył się zapłakany.

— Podaj mi także rękę twoją.

Młodzian dopełnił woli starca.

— Danielu — Danielu — zawołał Benedum — przebacz mi, wiem jak ciężko zawiniłem.

Daniel uśmiechnął się słodko.

— Łączę dziateczki nasze... widzisz sam żem wszystko zapomniał. Ludwiku... powierzam ci szczęście mojéj drogiéj Teresy: kochaj ją... szanuj... bądź dla niéj ojcem... bratem... i mężem... Oprócz ciebie nie ma biedna nikogo... Przyrzecz mi to Ludwiku:

— O tak, przyrzekam ojcze!

— Dobrze, mój synu —teraz Wernerze nie mamy czego czekać — Tereso uściśnij jeszcze braci.

Podniesiono wtedy ojca Daniela — a jęk obecnych rozległ się o ściany domu.

Dwaj konni żandarmi — trzymali w ręku zapalone łuczywo — noc bowiem była czarna. Doktór Marchal, pleban, młynarz z synem i młynarczykami, wynieśli chorych na materacach i umieścili ich na drabiniastym wozie grubo wysłanym słomą.

Opodal odzywały się okrzyki tłumu.

Światło żywicznych drzazeg oświetlało okropny obraz. Wóz stał przed domem, — otoczony gronem życzliwych; tłum poglądał z daleka z urąganiem. Konie spinały się parskając niecierpliwie. Stary dom z otwartemi oknami, przedstawiał obraz pustki. Ludwik unosił biedną Teresę, która nie okazywała najmniejszego znaku życia.

W śród tego powszechnego zgiełku, w chwili gdy młynarczyk, chwycił lejce i uniósł bicz do góry powstała głośna wrzawa.

— Fuldrada — Fuldrada wołały liczne głosy.

Tłum rozstąpił się z przerażeniem.

Jakoż stara poraz pierwszy od lat dwudziestu, zstąpiła ze swych zwalisk. Szła przez zarośla, steczką prowadzącą do kuźni, wyciągnęła przed siebie suche ręce.

— Stójcie! zawołała przeraźliwym głosem.

Wszyscy posłuszni byli jéj woli.

Przystąpiła do wozu, dwie wielkie kozy były przy niéj. Widząc ją Daniel zadrżał: — oko starca zabłysło radością.

Werner ujął w rękę zapalone łuczywo, i pochylił się na koniu aby dosłyszeć co powie czarownica.

— Tak Fuldrado — rzekł kowal— popatrzywszy na nią chwilę— odjeżdżamy jak widzisz!

— Tak odjeżdżacie... odrzekła stara... ale będziecie tu jeszcze z powrotem.

Nastąpiło głuche milczenie.

— Czy wszyscy trzéj wrócimy?

— Wszyscy trzéj.

— A kiedy?

— Upłynie trochę czasu— ale nie wszystko skończone... Tam na górze oczekują was starzy!... zachowam dla was miejsce u ich boku.

Ponury zapał rozjaśnił oblicze starca!

— Co mówisz? ja i synowie moi! zajmiemy miejsce obok Hugona Jednookiego, Luitpranda, Bartolda? Nie! to być nie może.

— Tak będzie! położycie się przy ich boku... boście szlachetni!.. ja Fuldrada, ostatnia z margrafów Obernaj oznajmiam to wam... Widziałam Hugona, jak podniósł wielką szablicę podczas walki: jak was trzech pasował na rycerzy.

— Widziałaś to Fuldrado?

— Widziałam, i dlatego zeszłam tu z góry... Chciałam wam to oznajmić... Wasze miejsce tam— i ukazała górę. A teraz jedźcie, oczekuję was!..

Daniel Rock tak był wzruszony, że nie zdołał odpowiedzieć słowa.

Ta stara ma obłąkanie pomyślał brygadjer.

Fuldrada odeszła pomału.

— W drogę! zawołał Werner.

Wóz zaturkotał po bruku... Wieśniacy, kobiety,

dzieci, tłoczyli się z krzykiem — urągające nieszczęśliwym i rzucając przekleństwa.

— Precz ztąd! zawołał brygadier — i podniósł w górę pałasz...

Wóz potoczył się ciężko po kamieniach — przechylając się z boku na bok, konie parskały na głos.

Fuldrada stała w rogu opuszczonego domu, i spokojnym okiem powiodła za odjeżdżającymi.

— Czekam was! zawołała powtórnie.

Głos jéj przenikliwy, jakby krakanie orła, rozlęgł się w pośród tłumu. Stary kowal wyciągnął ku niéj rękę.

Tłum pospieszył za wozem. Blask łuczywa jasno odbijał o szyby chat wieśniaczych.

Ucichła wrzawa, umilkł turkot... głuche milczenie nastąpiło we wsi... Fuldrada powtarzając niezrozumiałe słowa, powróciła steczką do zwalisk.

Nim doszła na wierzchołek góry, kilkakrotnie obróciła głowę, i przyglądała się pochodniom, które połyskiwały w lesie przez zielone gałęzie buków.

W koło niéj rozpostarta ciemna pomroka nocy. Kozy stąpały ostrożnie jakby niepewne drogi.

Północ była gdy Fuldrada weszła do baszty swojéj. Daniel Rock z synami, w tymże czasie przybył w mury Falzburga.

XVII.

Przeciwko wszelkim przewidywaniom lekarzy, pan Horacy przyszedł wkrótce do zdrowia. Wiele krwi upłynęło mu nosem. Ta okoliczność ocaliła mu życie.

W trzy tygodnie po wypadku, widziano go jak oparty na kiju, przechadzał się po wsi, poglądając na góry przygasłem nieco okiem, lecz pełen rzeczywistego zadowolenia.

Co do pana Cyprjana, twarz jego przeszedłszy kolejno przez wszystkie barwy tęczy, wróciła nakoniec do zwyczajnego stanu, brakło mu tylko małéj cząsteczki ucha,

Młode paryżanki, zrażone pobytem w tak niebezpiecznem miejscu, rozwinęły motyle skrzydła i uleciały do Baden.

Prace inżenierów postępowały spiesznie. Pan Horacy objął znów naczelnictwo.

Ten człowiek, małego wzrostu, obdarzony równą energją jak ojciec Daniel, nie dał się nikomu wyprzedzić w niezmordowanéj pracy.

W końcu września, rozpoczęły się wywłaszczenia: przekonano się wówczas że Eljasz Blum pomnożył w trójnasób swój majątek. Stary lis — odprzedał na wagę złota, nie tylko łąkę nabytą od ojca Benedum, ale długi pas ziemi, zakupiony wcześnie od różnych właścicieli po nad Sawerną.

Wielkie było zdziwienie wszystkich, gdy się wieść rozeszła, że Eljasz został miljonowym. Z poszanowaniem poglądano na niego, kiedy przyjeżdżał na małym osiołku; zdejmowano przed nim kapelusze i zwano go panem Eljaszem. On jednak prosty i skromny, jak dawniéj odziany w brudny hałat, uśmiechał się filuternie do wszystkich. Często pan Zacharjasz Piper w białym krawacie, oddawał mu pokłon aż do ziemi, Eljasz na to mrugał okiem i odzywał się przez nos.

— He, he! pokorny sługa pana mera! Mówiłem wczora o panu z podprefektem.

— Ach panie Eljaszu! jakżem wdzięczny!

— Tak, rachuj pan na moją protekcję.

Mało brakło, aby nie podał merowi, ręki do pocałowania:

Tak to obracają się rzeczy na świecie.

Gdy rozpoczęto budowę drogi żelaznéj, Eljasz podejmował się wszelkich dostaw. Nie podobna było z nim walczyć. Znał się na każdéj rzeczy, obliczył wszystko naprzód, śmiało rzucał się na trudne spekulacje i nigdy nie doznał zawodu. Inni dostawcy, oburzali się na to — ale nie było rady — nikt nie dorównał sprytem Eljaszowi. Ten spryt, plemienna cecha jego rodu, przypadł mu puścizną po naddziadach.

Z początku zawodu swego — Eljasz z ubogim kramikiem wędrował od wsi do wsi — sprzedawał mydełka, szpilki, i inne drobiazgi tego rodzaju. Póżniéj włóczył za rogi starą krowę do miasta, potem założył w Sawernie handelek. Nakoniec stał się miljonowym panem — budował drogi żelazne — zakładał ogromne fabryki.

Eljasz Blum miał jenjusz handlu i przemysłu, dla tego czegokolwiek się dotknął — wszystko w jego ręku przemieniło się w złoto.

Wogezy w nową całkiem przyoblekły się postać. Niedawno jeszcze, wśród głuchéj i samotnéj ciszy, napotkałeś tu ledwie pastuszka lub gajowego w lesie, tu i owdzie dostrzegłeś kilka nędznych chat przylepionych do skały, czasem uboga dzwonniczka kościoła, wychyliła się z pomiędzy ciemnych jodeł. Słyszałeś tylko świst drozdów huk siekiery, jednostajny łoskot tartaków, lub szum wody spadającéj z góry po skałach. Kto pamięta jeszcze te głuche pustkowia, te ciemne lasy, owych starców w łachmanach, kobiety i dzieci boso — z twarzą ogorzałą z roztarganym włosem, jak zdumione wybiegały na przeciw podróżnego — tego plebana w łatanéj sutannie jak z brewiarzem pod pachą przedzierał się przez góry i wąwozy — tego nauczyciela, jak stojąc w oknie pustéj szkółki, napróżno wyglądał uczniów: kto widział to wszystko, a nie zna starych kronik, aby wspomnieniem dawnych zapaśników i łowców zaludnić owe pustkowia, ten zaprawdę nie podzieli zdania ojca Rock, i błogosławić będzie drodze żelaznéj, która wniosła przemysł, pracę i dobry byt, w te dzikie dotąd góry.

(d. c. n.)



Paul Lacourière sc.

E. Préval d.

Gilquin fils imp. r. des Fossés S.t J. 3. Paris

3572

TYGODNIK MÓD

w Warszawie